

Konstanty Pilecki

„Trockie ogórki” na Kuźniczkach

Awazymyz : pismo historyczno-społeczno-kulturalne Karaimów nr 3(20), 3-8

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

„Trockie ogórki” na Kuźniczках

*Wrzeszcz to tylko przedmieście Gdańska,
a jednocześnie cały Wszechświat.*
Günter Grass, „Psie lata” (cyt. z pamięci).

– O, znowu lecą te trockie ogórki – usłyszałem pewnego razu, gdy grupą brzdąców pędziliśmy ulicą Wajdeloty, by gwałtownie skręcając w Grażyny, skierować się w stronę „małej uliczki” i zostawić za plecami rozsiewającą smakowite zapachy cukiernię Paradowskiego. Była to pierwsza połowa lat pięćdziesiątych minionego już wieku, a słowa wypowiedziałomal nie stratowany przechodzień, jeden z wielu tak charakterystycznych mieszkańców ówczesnego Dolnego Wrzeszcza. Powiedział bez urazy, z wyraźną sympatią malującą się na zarumienionej alkoholem, uśmiechniętej twarzy tego lokalnego kłozarda. Śpiewny akcent nie pozostawiał żadnych wątpliwości – on też przybył tutaj „zza Buga”. Istotnie, był to mieszkaniec przedwojennych Trok, a raczej któregoś z okolicznych wiosek, znający naszych rodziców i obeznany z tematyką „ogórkową”.

W tym miejscu winien jestem kilka słów wyjaśnienia. Co mają wspólnego Troki z Kuźniczками? Gdzie Rzym, a gdzie Krym? – chciałoby się zapytać. Co to w ogóle są te Kuźniczki? No i o jakiej grupie brzdąców mowa?

Zacznijmy od brzdąców, bo cała reszta to świat widziany ich dziecięcymi oczami. Świat subiektywny, baśniowy i magiczny, taki, jaki może powstać jedynie w wyobraźni kilkuletniego dziecka. Zatem, wymieniając według starszeństwa, która to cecha jest zdecydowanie najważniejsza w pacholęcym pojęciu, byli to: Seweryn, piszący te słowa oraz Jurek. Seweryn i Jurek Firkowicze to rodzeni bracia. Niestety, odeszli tak wcześnie. Z naszej trójki pozostałem tylko ja, więc chcąc nie chcąc powinienem zadbać o to, by po tych odległych czasach pozostał jakiś ślad. Choćby tylko przez wzgląd na pamięć tych moich pierwszych, a może i jedynych prawdziwych przyjaciół.

Świat widziany z wysokości jednego metra nad podłogą? Co mieści się w tak wyznaczonej perspektywie? W tamtych czasach powiedziałbym bez namysłu – wszystko. I to jest najlepsza odpowiedź. Jednak jasność i ostrość widzenia zanika z wiekiem. Obecnie powiem, że chodzi o dzieje tego, co dorośli zwykli nazywać gdańskim dżymatem; w pierwszych latach po zakończeniu wojny. Oczywiście, świat ten nie kończył się na sprawach karaïmskich. Nie można nawet mówić o ostrej granicy, oddzielającej naszą religijno-etniczną zbiorowość od reszty kosmosu. Jednak tutaj panował

inny klimat, dający nam poczucie ciepła i bezpieczeństwa. Ciekawi reszty świata, rządni przygód i nowych doznań, porzucaliśmy nieraz to „środowisko naturalne”, jednak zawsze z poczuciem ulgi powracaliśmy tam, gdzie było nasze miejsce.

Przy tak nakreślonej perspektywie najważniejsza jest dzieciarnia. I to właśnie maluchy, a później podrostki pojawiają się na pierwszym planie. Jednak dzieci mają to do siebie, że towarzyszą im zwykle dorośli. Zatem i ich pominąć nie sposób. Jednak, występując w tle, nie mogą być zarysowani – na tej pamięciowej fotografii – zbyt ostro. Tym bardziej, że oglądani od dołu, mogliby wypaść nie tak dostojnie, jak na to zasługują. A przecież należą im się słowa wdzięczności i szacunku choćby tylko za to, że to dzięki ich staraniom mieliśmy spokojne i – jak na tamte trudne czasy – dostatnie dzieciństwo.

Wrzeszcz

Jeżeli z gdańskiego śródmieścia skierujemy się w stronę Sopotu, to przed dotarciem do Oliwy natrafimy na Wrzeszcz. Ta szybko rozwijająca się obecnie dzielnica miasta, biorąca swą nazwę od zalegających tu niegdyś wrzosowisk, w pierwszych latach po wojnie zachowała jeszcze dawny charakter rustykalnego przedmieścia. Wspierając się z jednej strony o porośnięte pięknymi lasami morenowe wzgórze, Wrzeszcz opada w kierunku Zatoki Gdańskiej, osiągając swój kres u granic dawnych rybackich osad, Brzeźna i Jelitkowa. Linia kolejowa, łącząca Gdańsk z Gdynią, rozcina dzielnicę na dwie części.

Pierwsza z nich, zwana Górnym Wrzeszczem, do dziś zachowała charakter eleganckiej dzielnicy willowej. Lekka stylowa zabudowa, tak charakterystyczna dla tych okolic, spływa pradolinami ze wzgórz moreny i zatrzymuje się na głównej arterii miasta, alei Grunwaldzkiej.

Całkowicie odmienny charakter ma Dolny Wrzeszcz. To dawna dzielnica robotnicza wybudowana na potrzeby pracowników ciągle rozwijających się gdańskich stoczni. Zabudowę jej stanowią nie najwyższego standardu kamienice usytuowane wzdłuż stosunkowo gęstej sieci ulic.

Z pewnością najciekawszą częścią Dolnego Wrzeszcza są Kuźniczki. To niewielka część byłego majątku ziemskiego jednej z bogatszych gdańskich rodzin, usytuowana na obszarze dawnego założenia dworskiego, po którym do dziś przetrwał ciągle kurczący się „Park na Kuźniczках”, staw oraz wybudowany w połowie XVIII w. dwór. Uroku temu miejscu dodaje Strzyża – potok, który bierze swój początek w porastających morenę lasach, przemierza Górny Wrzeszcz, by precyzyjnie się pod kolejowym nasypem, wychynąć na Kuźniczках. Tutaj, przebijając swym korytem pierzeje

kolejnych ulic, przepływa przez liczne podwórka, dodając im swoistego klimatu – zarówno w upalne letnie dni, gdy chłodem swym łagodzi dokuczliwy skwar; jak i zimą, kiedy woda chowa się pod warstwą przyprószonego śniegiem lodu. Po opuszczeniu Kuźniczek „rzeczka” zmierza w kierunku Motławy, by razem z nią zasilić wody królowej polskich rzek, Wisły, która łaskawie pozwoli jej zakończyć bieg w nieprzebranych wodach Bałtyku.



Mieszkanie Seweryna i Jurka

Zabudowę Kuźniczek tworzą stary browar oraz kilka ulic, o tak mile brzmiących Mickiewiczowskich nazwach. Najokazalszą z nich jest ulica Wajdeloty, będąca niejako kręgosłupem tej części miasta. Wzdłuż niej stoją secesyjne kamienice, niektóre zadziwiająco ładne. Jedną z uliczek odbiegających w bok od Wajdeloty jest ulica Grażyny. No i w ten sposób dotarliśmy do miejsca, które dzisiaj – po latach – nazwalibyśmy sercem gdańskiego dżymatu. Mówiąc dokładniej chodzi o dom, stojący u zbiegu tych dwóch ulic, w którym od roku 1945 mieszkali Ada i Bogusław (Bora) Firkowicze. Tutaj zbierano się we wszystkie dni uroczyste, tutaj odprawiano nabożeństwa, tutaj także świętowano wszelkie inne okazje. A ponieważ moi rodzice, Natalia i Józef (Izydor) Pileccy, oczywiście razem z piszącym te słowa, mieszkali tuż za rogiem, przy ulicy Grażyny, więc było niemal regułą, że nieoficjalna, mniej podniosła, a bardziej rozrywkowa część uroczystości miała swój finał właśnie tutaj.

Jeszcze o brzdąkach i подроstkach

Jak dotąd w opowieści tej pojawiły się trzy „osoby”, rezydujące stale na Kuźniczkach. To Seweryn, Jurek i piszący te słowa. Ale przecież było nas znacznie więcej. A więc Żenia – pojawiała się bardzo często, z okazji świąt i bez okazji. Na początku towarzyszyli jej oboje rodzice, Bema i Marcin Firkowicze, później przywoziła tylko tatę, a mama dojeżdżała sama. Przez szereg lat razem z Żenią przyjeżdżał Jurek Robaczewski, nad którym w tym czasie opiekę sprawował Marcin. Tych dwoje pojawiała się tak często – czasem nawet na dłużej – że byli uważani na Kuźniczkach za „tutejszych”. Przyjeżdżali z Sopotu. Natomiast w czasach tak odległych, że

giną za horyzontem mojej pamięci, Żenia z rodzicami mieszkała przy ulicy Wajdeloty, razem ze stryjostwem.

Jeżeli już jesteśmy przy tacie Żeni, to grzechem byłoby nie napisać, że była to osoba witana zawsze z największą radością. Marcin był człowiekiem o usposobieniu nadzwyczaj ciepłym i pogodnym. Pełen humoru i fantazji, bez cienia złośliwości i postrzegany jako chodząca życzliwość, był duszą każdego towarzystwa. A już jeżeli chodzi o społeczność karaimską, to grał tu bez wątpienia rolę spiritus movens. Jak ważna była to rola, przekonaliśmy się wszyscy, gdy go zabrakło.

Z Sopotu przyjeżdżała również Iza w towarzystwie rodziców Natalii i Michała Jutkiewiczów. Rzadziej pojawiała się jej siostra Ewa. A może nie rzadziej, tylko – nie wiedzieć czemu – Iza bardziej mi utknęła w pamięci? Przyjeżdżał także Lolek, brat Izy. Ale on, jako nieco starszy, nie bratał się z naszą kompanią.

Michał Jutkiewicz zwracał uwagę swoją elegancją. Zawsze w nienagannie skrojonym garniturze, śnieżnobiałej koszuli i świetnie dobranym krawacie – mimo największych wysiłków nie jestem w stanie wyobrazić go sobie ubranego mniej starannie.

Z Gdyni, a właściwie z Redłowa¹, wpadał jak meteor Sławek. Ponieważ za meteorom nikt nie nadaży, więc jego mama, Wala Sulimowiczowa, przyjeżdżała oddzielnie. Sławek, jeszcze starszy od Lolka, uwagi żadnej na nas nie zwracał. Natomiast my, chłopcy, przeciwnie, obserwując go uważnie, staraliśmy się nie uronić żadnego jego słowa – jako kandydaci na przyszłych dolnowrzeszczańskich łobuzów czuliśmy przez skórę, że to mistrz nad mistrze. W najwcześniejszych latach tego okresu razem z mamą Sławka przyjeżdżała także jego babcia, „ciocia Lola” Łobanosowa.

Wracając do Wrzeszcza, trzeba przypomnieć Nadę. Mieszkała niedaleko Kuźniczek, przy małej uliczce odchodzącej od Jaśkowej Doliny. Najpierw pojawiała się z obojgiem rodziców, Szurą i Gieniem Nowickimi. Później Gienek zamieszkał w Śródmieściu, a Nada z mamą wyemigrowały do Francji. Było to na tyle wcześnie, że Nada do naszej paczki wejść nie zdążyła.

Gienek Nowicki był pierwszym zmotoryzowanym Karaimem w powojennym Gdańsku. Pamiętam jego Opla, którym nas czasem woził. Bardzo dbał o swój wygląd, podążając za wszystkimi nowinkami mody. Jako lekarz zajmujący eksponowane stanowiska, pomagał rodakom w przypadku kłopotów zdrowotnych. Gdy go zabrakło, rolę tę przejęła Bema Firkowicz-Skrodzka.

Przy ulicy Słowackiego we Wrzeszczu mieszkał przez jakiś czas Darek. Był to syn Julusia Firkowicza. Spotkałem go może tylko raz w życiu, jeszcze jako niemowlaka. Darek bardzo wcześnie wyjechał z mamą z Gdańska, a Juluś pozostał sam.

Z odległej dzielnicy Gdańska, Oruni, przyjeżdżał Bogdan. Towarzyszyli mu rodzice, Zosia i Olek Nowic-

¹Redłowo – dzielnica Gdyni (przyp. aut.).

cy. Po jakimś czasie u boku Bogdana pojawiło się małeństwo. Z pisklęcia tego wyrosła mu siostra, Halinka.

Ze Śródmieścia dojeżdżał także młodszy z moich stryjecznych braci, Andrzej. Przywoził ze sobą tatę Edka Pileckiego i mamę Anielę. Był za mały, żeby się dostać do naszej paczki.

Do „kompanii na Kuźniczkach” należała jeszcze jedna, bardzo nietypowa osoba. Ponieważ do nas nie przyjeżdżała, lecz my odwiedzaliśmy ją w Brzeźnie², może być nazywana członkiem korespondentem. Na imię miała Mars i była owczarkiem niemieckim. Trudniła się pilnowaniem domu Miłuni i Józefa Pileckich. Ta sympatyczna trójka nie zagrzała jednak długo miejsca na Wybrzeżu. W latach pięćdziesiątych Mars i jego państwo przenieśli się do Warszawy. Jednak nadmorski klimat musiał pozostawić w ich pamięci dobre wspomnienia, ponieważ w roku 1985 Miłunia i Józef – już bez Marsa – powrócili do Gdańska. Zamieszkali na Przymorzu³, gdzie dożyli swych ostatnich dni.

To byłby koniec wykazu juniorów pierwszej powojennej dekady. Później zaczęły się pojawiać młodsze roczniki. Bardzo blisko Kuźniczek przyszli na świat Maryla i Adaś. Jak tylko nauczyli się chodzić, dołączyli do swoich rodziców Heleny i Elka Pileckich, którym w latach wcześniejszych towarzyszyła jeszcze babcia Zefira.

„Elementy napływowe”

Gdzieś na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych przyjechał do Gdańska Szurik. Ponieważ jechał z daleka, bo aż z Harbina, więc oczywiście nie sam. Towarzyszyli mu rodzice Tamara i Włodzimierz Sokołowie oraz babcia Zinaida Tynfowicz. Szurik okazał się sympatycznym chłopakiem. Odpowiadał nam wiekiem, lecz nie posturą, którą przypominał kulę. Specjalnie to nas nawet nie zdziwiło i przyjęliśmy domyślnie, że w Chinach wszyscy chłopcy są tacy. W końcu co kraj, to obyczaj. Nawet nie przypuszczaliśmy, że za parę lat ta kula przeistoczy się w wysokiego, smukłego i niezwykle przystojnego młodzieńca. Ale cóż, pewnie w Chinach to też rzecz normalna... Rodzina Sokołowych zamieszkała w Sopocie. Po kilku latach dojechała jeszcze, też z Chin, ciocia Szurika, Zofia Kryczenko. Pani Zosia znalazła swój dom we Wrzeszczu.

Obie starsze panie, siostry Zinaida i Zofia (z domu Łopatto), wprowadziły do naszej społeczności zupełnie niepowtarzalny klimat. Ich silne osobowości oraz niebanalne życiorysy, na które złożyły się czasy carskiej Rosji i późniejszej emigracji do Chin, owocowały – jakby przeniesionym z zupełnie innego świata – stylem bycia oraz długimi opowieściami, w których dzieliły się z naszymi rodzicami wspomnieniami z lat minionych. Ponadto, słynne były kunszt kulinarny pani Zinaidy oraz zdolności wokalne pani Zofii.

²Brzeźno – obecnie nadmorska dzielnica Gdańska (dawniej rybacka osada) (przyp. aut.).

³Przymorze – nowe osiedle mieszkaniowe w Oliwie (przyp. aut.).

Nieco później przyjechały z Wilna dwie siostry, Ania i Lena. Oczywiście z rodzicami, Haliną i Cyrylem Andrzejewymi. Rodzina zmieniła nazwisko na Andrzejewscy i zamieszkała w samodzielnym domku w Orłowie⁴.

Gdzieś na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych przenieśli się ze Słupska do Gdańska Stella i Staszek. Przyjechali pod opieką rodziców, Zosi i Witolda Szpakowskich. Rodzina zamieszkała w Nowym Porcie⁵. Ten drobiazg rzadko pojawiał się na Kuźniczkach, bo też to była już końcówka dobrych lat naszej wspólnoty. Jednak drobiazg musiał w nadmorskim klimacie szybko dojrzewać, bo niebawem okazało się, że Stella została żoną Bogdana... A i Staszek zaczął sobie radzić niezgorzej.

Pozostali seniorzy

Tu pozostaje wymienić te osoby wówczas dorosłe, które do poprzedniego rozdziału nie mogły być wprowadzone przez swoje dzieci – z uwagi na brak takowych bądź zbyt późne, czy też wczesne pojawienie się ich na świecie.

Tak więc na Kuźniczkach mieszkała jeszcze moja ciocia, Irena Poziemska. Przyjechała do Gdańska później od moich rodziców, w połowie lat pięćdziesiątych, po śmierci babci Lidii.

Nieco później przeniósł się, także z Trok, do Gdańska trzeci z braci Nowickich, Michał. Po jakimś czasie przywiózł sobie z Trok żonę, Miłę z Dubińskich. Zamieszkali na Żabiance⁶. Tam też urodziło im się dwóch synów, Jarek i Artur.

W starej Oliwie, przy ulicy Polanki stoi jednorodzinny dom, w którym przez cały powojenny czas mieszkają Karaimi. Stamtąd w każde święto przyjeżdżał na Kuźniczek Szymek Ickowicz. Pamiętam go bardzo dobrze – szczupły, mocno szpakowaty, prosty jak struna, granatowym ubraniem mundurowego kroju manifestował swoją przynależność do kolejarzkiego klanu. Jak dowiedziałem się znacznie później, w pierwszych latach po wojnie mieszkał tam także senior rodziny Ickowiczów, który też nosił imię Szymon⁷. Prócz tego dom „na Polankach” pełnił rolę tymczasowej przystani dla rodzin halickiej proveniencji. Przez jakiś czas mieszkał tu Mundek Sulimowicz z rodziną oraz – jeżeli pamięć mnie nie myli – jego brat Mieczek. Tradycja halicka jest podtrzymywana do dzisiaj – obecnie żyje tu Zenek Szulimowicz z rodziną.

Z Dolnego Miasta⁸ przyjeżdżała pani Emilia Szalewiczowa, czasem w towarzystwie córki z mężem.

Mieliśmy również swojego człowieka od „spraw granicznych”. Był nim starszy z moich stryjecznych braci, Józek Pilecki. Jako „pływający”, czyli oficer, a potem

⁴Orłowo – willowa dzielnica Gdyni (przyp. aut.).

⁵Nowy Port – portowa dzielnica Gdańska (przyp. aut.).

⁶Żabianka – nowe osiedle mieszkaniowe w Oliwie (przyp. aut.).

⁷Szymon Ickowicz (nestor, bo najstarszy, ale akurat z innej gałęzi rodziny Ickowiczów) nie mieszkał tam w pierwszych latach po wojnie, tylko później, jak przyjechał z Opola, a na Polanki mieszkał aż do śmierci w 1969 r. (red.).

⁸Dolne Miasto – dzielnica Gdańska (przyp. aut.).

kapitan floty handlowej, przywoził wieści z szerokiego świata, który w tych czasach odgradzony był od nas żelazną kurtyną. Józek – wielki amator kybynów i krupniku – korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by wpaść na Kuźniczki – oczywiście jeżeli nie był w tym czasie „w morzu”.

Gdzieś w latach sześćdziesiątych morskie wiatry po raz kolejny przyniosły zapach mandżurskich pól. Z dużymi nadziejami był oczekiwany, a potem uroczście witany ostatni już przesiedleńca z Chin, Józef Jutkiewicz. Egzotyczny przybysz zamieszkał wraz z żoną Nadzieją w Sopocie, a podniecenie wywołane jego osobą prędko opadło.

Na tym kończyłaby się lista osób tworzących naszą niedysiejszą wspólnotę. Przynajmniej tych, które zachowała moja pamięć i które – w miarę regularnie – pojawiały się na Kuźniczkach. Z pozostałych dla porządku należy wymienić mieszkające w Sopocie panie Annę Mardkowicz⁹, Irenę Maciejcową i Sabinę Gołub. I jeszcze jedna osoba, która na Kuźniczkach wprawdzie nie bywała, ale bardzo często pojawiała się w rozmowach naszych rodziców oraz miała swój udział w płytotekach wielu karaimskich domów. To oczywiście Halina Mickiewiczówna, znany sopran koloraturowy i ceniony pedagog, przez wiele lat pracująca jako profesor Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Goście

Nie jestem w stanie wymienić tych wszystkich, którzy odwiedzali naszą społeczność w owych latach. Jedni przyjeżdżali zobaczyć się z rodziną bądź przyjaciółmi; innych wabiła atrakcyjność miejsca, szczególnie latem. Zdarzali się goście krajowi i zagraniczni. Tych ostatnich, szczególnie po otwarciu granicy ze Związkiem Radzieckim, było całkiem sporo. Jednak odwiedzali nas rodacy nie tylko ze wschodu. Bywali również goście zza oceanu. Nasze rodzinne domy, zwłaszcza latem, zaludniały się miłymi przybyszami.

Jest rzeczą oczywistą, że szczególnie interesowali nas, maluchów, goście rówieśni. Oni też zostali najlepiej zapamiętani. I tak, niemal każdego lata gościł w domu moich rodziców Edzio z Warszawy. Przyjeżdżał zwykle pod opieką swojej babci, Zofii Nowickiej. Ale nie tylko, bo zdarzyło się również, że w towarzystwie mamy, Niusi, przyjechał w drodze do Kanady – kraj ten nie okazał się widać ziemią obiecaną, gdyż wkrótce mieliśmy możliwość goszczenia ich powracających do kraju. Edzio był trochę mały, ale jakoś tam sobie z nami radził.

Znacznie ciekawszym kompanem okazywał się Boguś, ze względu na swój słuszniejszy wiek. Nie jedne wakacje spędził on w naszym domu, razem ze swoją mamą, Tamarą Firkowiczową. Do wszelkiego rodzaju psot Boguś był towarzyszem wymarzoną. Muszę przyznać, że nie marnowaliśmy żadnej okazji. Moi rodzice

traktowali to z przymrużeniem oka, ale pani Tamara przeżywała ciężkie chwile.

Inne wakacje spędzali w moim domu Jurek i Zbyszek. To synowie Rafała Michajłowicza z Bydgoszczy. Z Michajłowiczów wileńskich pamiętam Tanię przyjeżdżającą ze swoją mamą Lubą oraz Nadzieę z tatą Zenią.

Gości dorosłych nie będę tu wymieniał, bo w wyznaczonych na wstępie ramach po prostu brakuje dla nich miejsca. Ale pamiętam wszystkich dobrze i bardzo mile wspominam.

Przez pozostałe domy też przewijało się nie mało dzieciarni. Był ciągły ruch. Przyjeżdżał na przykład Oleś, który już nie był dzieckiem czy подростkiem, lecz dorosłym młodzieńcem i studentem orientalistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Jednak nie obnosił się ze swoją dorosłością i traktował nas jak partnerów. Uczyliśmy się od niego różnych sztuczek, jeździli razem na jelitkowską plażę. Po latach, gdy i my osiągnęliśmy wiek dojrzały, nikomu już do głowy nie przyszło, by nazywać go tak poufale. Był to oczywiście wujek Olek Dubiński.

Wydarzenia

Na brak atrakcji nie mogliśmy narzekać. Przede wszystkim święta, których ze względu na perspektywiczny skrót wydaje się było bez liku. Już same przygotowania rozgrzewały atmosferę. Choć wiedzieliśmy dobrze, że na początku nie będzie lekko. Nie przypominam sobie, by w czasie nabożeństw, które odbywały się w domu Seweryna i Jurka, pozwalano nam choćby na chwilę usiąść. Jak pamiętam, siadały tylko leciwe panie. Natomiast pozostali dorośli i dzieci stali. Nie wiem, czy było to spowodowane surową regułą, czy też przyczyną bardziej prozaiczną – brakiem odpowiedniej ilości krzeseł. W każdym razie nie było łatwo odstać wiele godzin osłabionej postem dziatwie. Jednak podniosły nastrój i myśl o zbliżającym się radosnym zakończeniu dodawały nam sił. No i warto było. Gdy nadchodził stosowny czas, zabawy nie miały końca. Oczywiście odrabialiśmy też zaległości dietetyczne, a smakołyków nigdy nie brakowało.

Mniej podniosłe, ale też pełne radości, były inne wydarzenia, już nie związane ze świętami religijnymi. Urodziny, jubileusze, przyjęcia z okazji odwiedzających Wybrzeże gości. Trzeba przyznać, że starsze pokolenie umiało się bawić. A my, dziatwa, też mieliśmy mnóstwo uciech. Tyle, że nasze swawole kończyły się wcześniej. Potem łóżko i... bezsenna noc. Bo jak tu usnąć, kiedy do białego rana w domu śpiewy, tańce, śmiechy i głośne rozmowy. Przynajmniej tak było u moich rodziców, którzy kochali gości i prowadzili dom otwarty.

Wydarzeniem, które odcisnęło się w naszej pamięci na długie lata, było spotkanie społeczności Trójmiasta i osób przyjezdnych, związane z inicjatywą wydania słownika języka karaimskiego. Było to pod koniec lat pięćdziesiątych. Wiele osób zebrało się wtedy w mieszkaniu przy ulicy Wajdeloty. Nie bardzo rozumiejąc znaczenia przedsięwzięcia czuliśmy, że dzieje się coś bardzo ważnego. Pamiętam wiele nieznanych mi dotąd

⁹Oprócz Anny Mardkowicz, córki Aleksandra Mardkowicza z Łucka, w Trójmieście mieszkała również jej matka oraz dwaj bracia (przyp. aut.).

osób, w tym również profesora Ananiasza Zajączkowskiego¹⁰ z córkami, które dziwnym trafem zapamiętałem szczególnie wyraźnie. Obecny był również gość z Moskwy, profesor Baskakow¹¹.

Było również mnóstwo drobnych, lecz dla nas bardzo ważnych wydarzeń. Każdy wspólny wypad na brzeźnieńską plażę, na „jaśkówkę”, jak nazywaliśmy zalesione okolice Jaśkowej Doliny, do oliwskiego parku czy przepięknej niegdyś Doliny Radości. Mieliśmy to wielkie szczęście, że wokół „naszych” Kuźniczek nie brako-



Altana Gutenberga w Jaśkowej Dolinie

wało miejsc wyjątkowo pięknych, gdzie można się było cieszyć beztrudnym dzieciństwem.

Szczególne znaczenie miał też dla nas Park na Kuźniczkach. Traktowaliśmy to miejsce jak przedłużenie własnego domu, spędzając „na powietrzu” każdą wolną chwilę. W zimie sanki i ślizgawka na graniczącym z parkiem przybrowarnym stawie. Latem – niezliczone gry i zabawy, które z żalem musieliśmy przerywać, wzywani na obiad rykiem browarnej syreny.

Ten sielski obraz zakłócany był niekiedy zdarzeniami bardzo smutnymi. Zaczęli odchodzić nasi bliscy. Pierwsza uroczystość pogrzebowa, do której sięga moja pamięć, to żegnanie na Cmentarzu Witomińskim¹² cioci Loli Łobanosowej. Było to gdzieś na początku lat pięćdziesiątych. Następująca później dekada minęła – przynajmniej w mojej pamięci – spokojnie. Z pewnością miały miejsce zdarzenia smutne, jednak mnie – dziecko, a później podrostka – nie dotknęło nic tak mocno, by mogła to przechować pamięć. I nagle w roku 1964 śmierć Marcina, ojca Żeni. To było jak grom z jasnego nieba, który uderzył tak blisko. Wtedy, stojąc już u progu dorosłości poczułem, że coś się kończy. Widziałem, że oto zabrakło tak bardzo bliskiej nam wszystkim osoby. Nie byłem jednak w stanie sobie wówczas wyobrazić, że właśnie skończyło się coś jeszcze, poza ludzkim życiem. Że brak tej osoby odczuwamy tak mocno. I to nie tylko każdy z nas indywidualnie,

¹⁰Profesorowi towarzyszyła małżonka Nadzieja (przyp. aut.).

¹¹N. A. Baskakow, A. Dubiński i A. Zajączkowski weszli w skład komitetu redakcyjnego wydanego w 1974 r.

„Słownika karaimsko-rosyjsko-polskiego” (przyp. aut.).

¹²Witomino – dzielnica Gdyni (przyp. aut.).

ale także wszyscy razem, jako cała – dotąd funkcjonująca w harmonii – społeczność.

Nie oddałbym wiernie klimatu tamtych lat, przemilczając jeszcze jedną sprawę. Zamiłowanie do hazardu, które nie obce było naszym ojcom. Przede wszystkim gry karciane, ale również ruletka i wyścigi konne. Zdarzało się, że rezultaty tych namiętności rzucały cień na życie niektórych rodzin. Na szczęście jednak nigdy nie osiągnęło to poziomu, który mógłby prowadzić do poważniejszych problemów. A patrząc na rzecz z dystansu kilku dziesięcioleci, można nawet powiedzieć, że wносиła ona pewien nerw i dodawała kolorytu tamtym czasom.

Wyjazdy

Życie tętniło nie tylko na Kuźniczkach. Wielką atrakcją były dla nas wizyty składane w domach przyjaciół. Najczęściej odwiedzaliśmy Żenię w Sopocie. Jej przestronne mieszkanie, które zajmuje do dzisiaj, mieściło bez trudu znaczną liczbę gości. Ogród otaczający dom, zaciszne uliczki górnego Sopotu oraz pobliski las stanowiły znakomite miejsce dla długich, niczym nieskrępowanych zabaw. No i niezapomniana atmosfera, którą dom ten zawdzięczał gościnności i wyjątkowemu usposobieniu taty Żeni.

W Sopocie bywaliśmy również u Izy i jej rodzeństwa. Tam z kolei atrakcją była bliskość plaży. Pamiętam także mieszkanie Bogdana i Halinki na Oruni, choć w czasach, o których mowa, Halinki z pewnością jeszcze na świecie nie było, a jej brat – jak można się domyślać – rolę gospodarza odgrywał ubrany w pieluchy i śpioszki.

Seweryn

Była więc nas gromadka „trockich ogórków”. O każdym można by opowiadać, bo tak bardzo się różnieliśmy. Niestety, zajęłoby to zbyt wiele miejsca. Ale przywódco paczki pominąć nie sposób.

Seweryn, jako najstarszy z nas, był w grupie niekwestionowanym przywódcą. Był tak „duży”, że zdążył się urodzić jeszcze w – jak mawiali rodzice – „naszych stronach”, czyli w Wilnie. Wprawdzie jedynie dwa-cztery lata wcześniej od reszty, ale w pacholęcym wieku to przewaga olbrzymia. Pamiętam go od zawsze. Jak tylko nauczyłem się chodzić, pędziłem za Sewerynem. Był pierwszym i przez wiele lat jedynym moim przyjacielem. Koniec dzieciństwa w sposób naturalny musiał nas oddalić. Inne szkoły, inne zajęcia, nowe grupy znajomych. Widywaliśmy się coraz rzadziej, później już tylko z okazji wspólnie spędzanych świąt. Gdy zaczęły wygasać – tak częste dawniej – kontakty w obrębie naszej społeczności, skończyły się i te okazje. Ale jeszcze ciągle mieszkaliśmy w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od siebie. Ciągłe żywe było poczucie bliskości. Cały czas wydawało się, że to tylko chwilowe zawirowanie. Potem pokończyliśmy studia, rozpoczęli pracę i dorosłe życie. Właściwie ostatnie nasze spotkanie, to był ślub Seweryna. Potem pozostały już tylko przelotne kontakty.

Gdy Seweryn wyjechał z Gdańska, najpierw na południe Polski, potem do Szwajcarii, zrozumiałem, że to już nie jest chwilowe zawirowanie, że może być teraz trudno nadgonić stracony czas. Ale ciągle tliła się iskierka nadziei, że pewnie kiedyś... I nagle ta iskierka zgasła. Niespodziewanie dla mnie, a pewnie i wielu innych, straszna choroba zabrała nam Seweryna na zawsze. Szanse na wznowienie przyjaźni przepadły.



Podwórka

Gdy do Gdańska dotarła wiadomość o śmierci Seweryna, przekonałem się, jak wielu miał przyjaciół. Spotykani ludzie, których nawet nie podejrzewałem o to, że go znali, mówili tylko o nim. Zawsze wiedziałem, że Seweryn jest bardzo lubiany, że ma wielu przyjaciół i znajomych. Ale teraz, po tylu latach spędzonych poza krajem pamięć o nim pozostała tak żywa, jakby ani na chwilę nie opuścił Kuźniczek. I do dzisiaj nic się tutaj nie zmieniło...

Kuźniczki wczoraj i dziś

Gdy w 1945 roku nasi rodzice przyjechali do Gdańska¹³, centrum miasta leżało w gruzach. Armia Czerwona, nie mogąc zabrać ze sobą tej perły wśród nadbałtyckich miast, która przetrwała niemal bez uszczerbku całą wojnę, zniszczyła ją doszczętnie, pozostawiając po sobie ruiny i zgłiszcza. Natomiast Wrzeszcz w dużej części pozostał nienaruszony. Tu więc znalazła swoje miejsce liczna rzesza przybyszów. Byli to w głównej mierze ludzie z odebranych Polsce ziem na wschodzie, ale również ze zniszczonej Warszawy i innych miast. Rzesza ta mieszała się z ludnością miejscową, również niejednorodną pod względem narodowościowym i kulturowym.

Na Kuźniczkach, oprócz języka polskiego, słychać było także niemiecki i kaszubski oraz – tak charakterystyczną dla dawnego Gdańska – mieszanek tych języków, tworzącą swoisty miejscowy dialekt. Sam polski często też rozbrzmiewał z wileńskim lub – rzadziej – lwowskim zaśpiewem. Dodawało to swoistego kolorytu temu miejscu. Nasze rodziny, które stanowiły kroplę – nawet w skali kame-

ralnych Kuźniczek – w morzu lokalnej społeczności, były rozpoznawane, choć nie zawsze właściwie identyfikowane.

Potem walec historii, kierowany ręką kolejnych przedstawicieli „ludu pracującego”, zaczął systematycznie niwelować wszelkie różnice, miazdżyć odstępstwo od narzuconych przez panującą ideologię norm i zasad. Zaczęło brakować miejsca dla różnorodności, odmienności... Z drugiej strony pokolenie naszych rodziców, stopniowo wykruszające się i tracące z wiekiem siły, stawiało coraz słabszy opór. Póki żył Marcin Firkowicz, społeczność trzymała się całkiem dzielnie. Jego odejście rozpoczęło trwający jeszcze kilka lat okres schyłkowy. Śmierć Bory Firkowicza, brata Marcina, zakończyła i ten etap. Każda rodzina zaczęła żyć wyłącznie własnym życiem. Pozostały jedynie kontakty towarzyskie. Choć w Trójmieście nadal żyli Karaimi, to gdański dżymat przestał istnieć.

Do dzisiaj na Kuźniczkach pozostałem tylko ja, ostatni z „trockich ogórków”. Z miejscem tym jestem bardzo mocno związany. Kilka razy dziennie przechodzę obok domu Seweryna i Jurka. Nawet gdybym chciał, to nie mogę zapomnieć ludzi i zdarzeń. Oczywiście zadaję sobie wciąż pytanie, czy tak musiało się stać. Czy nasze pokolenie nie mogło zapewnić ciągłości, podsyć przywiezione przez rodziców z ziem ojczystych zarzewie, które przez całe dwadzieścia lat paliło się na Wybrzeżu równym płomieniem?



Widok z okna autora

Może można było, nie wiem. Przyczyn zaistniałego stanu rzeczy staram się doszukiwać w zbyt małej liczebności młodego wówczas pokolenia. Stan ten, pogłębiony rozproszeniem niektórych z nas po świecie, nie pozwolił na powstanie odpowiedniej „masy krytycznej”, która umożliwiłaby zapewnienie ciągłości. A może w tym ważnym momencie część z nas była jeszcze za młoda i nieodjrzała, a pozostali zbyt zniechęceni i zmęczeni niełatwym życiem? I jeszcze jedno... Sam teraz dochodzę do wniosku, że moja chęć usprawiedliwienia zdaje się świadczyć o tym, iż część winy niekoniecznie leży poza mną.

Konstanty Pilecki
Gdańsk

¹³Przybyli w 1945 r. do Gdańska nasi rodacy nie byli pierwszymi Karaimami związanymi na stałe z tym miejscem. W okresie międzywojennym mieszkała w Wolnym Mieście rodzina Szpakowskich, którą powszechnie nazywano „Gdańskimi”.